Dodatek do „Prawdy“ Nr. 35.

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 5. Sobota, dnia 2-go Września 1905. Rok I.

TĘSKNOTA.

Gdy szary zmierzch
Dnia jasność białą zmroczy,
Gdy zcichnie gwar
Strudzone przymknę oczy,
To widzę tak
Wyraźnie jak na dłoni,
Nasz cichy sad,
Pełen grusz i jabłoni.
I widzę też
Nasz domek miły, biały,
W śnieżysty kwiat
Wiśni spowity cały.
I słyszę szept
Tych kwiatów, co o wiośnie
Pod oknem tam
Takie ich mnóstwo rośnie...
I słyszę szept
Brzózki o srebrnej korze
Co złotem lśni,
Gdy ranne płoną zorze.
I słyszę skrzyp
Studzienki mej w ogrodzie,
I świerszczów chór,
Co grają o zachodzie.
O domku mój!
Ty cichy domku drogi,
Czy wrócęż ja
Pod dach twój, w twoje progi?...

DO MATUSI...

Za wsią wśród dalekich pól, na wysokiej przykopie, siedział Jędruś Knapik i pilnował trzech krów, pasących się na ojcowskim ugorze. Co chwila, gdy która z nich poczęła się zbliżać ku przyległym polom, chłopiec się zrywał, szerokim półkolem zabiegał jej drogę i naganiał batogiem na środek ugoru. Wracał potem na dawne miejsce, siadał, spuszczał nogi w dół i poglądał w milczeniu ku wsi, rozrzuconej na poszarpanem płaskowzgórzu, na którego najwyższej wyniosłości wznosił się biały, murowany kościół.

Słońce wzbiło się już wysoko, gdy Jędruś dojrzał wreszcie na miedzach młodszego brata, niosącego mu śniadanie.

— Jasiek, a bez co tak nierychło? — zapytał zdyszanego i czerwonego jak piwonia malca, gdy mu podał wysoki, gliniany garnuszek i kromkę razowego chleba.

— Albo to nie wiesz? Dy matusia nie gotują, zwlec się z posłania nie mogą. Szymonowa dopiero od siebie warzę przynieśli.

— Dopiero to? pewnikiem?

— Dy ci mówię... Tolim sam w chałupie nie śniadał, inom żur wypił, a chleb tom se bez drogę jadł. Szymonowa mają klucz od komory, sami ukroili chleba.

— Ho, ho, ale się rządzą... A matusia co jedli?

— Mają mleko, popili ta cedź nieco, ale tak ino z ledwością...

Jędruś wziął się z apetytem do czarnego chleba, który popijał żurem, Jaś kończył ostatni swój kęs. Wtem nadleciał duży, śliczny motyl i zaczął opodal nisko nad ziemią kołować. Jaś zerwał się i pobiegł za nim. Spłoszony motyl uciekał coraz dalej. Jędruś widział, jak brat pędził przez rozległy ugór, potem przez gościniec, a wreszcie opadł na łąkę i zniknął za gajem olszynowym. Gdy wrócił, chociaż bez ściganej zdobyczy, był zgrzany i czerwony, oczy mu błyszczały, młodość i radość życia promieniały z okrągłej twarzyczki sześcioletniego dzieciaka.

Rozochocony, nie odpoczywał długo. Położył się na wznak na skraju przykopy, przy-

krył twarz kapeluszem i odpychając się piętami, obracał się w kółko. Podczas tego raz stracił równowagę i stoczył się na dół. Spodobała mu się ta zabawa i odtąd raz po raz wychodził na górę i staczał się do rowu, pokrzykując wesoło.

Przez chwilę patrzał na to Jędruś z politowaniem, wreszcie rzekł:

— Ej, Jasiek, Jasiek, dokazujesz, kieby ten młody pies, co ogona swego uchycić nie może, i radujesz się, głupi, a nie masz czego. Lepiej poleciałbyś do chałupy, matusia sami, jak palec, tatuś w mieście, może im czego trza...

Mały przerwał dziecinną igraszkę, stanął na chwilę przed bratem i spoważniał.

— Kiej w chałupie okrutnie mi się cnie. Matusia ino drzemią, abo stękają, nie odzywają się nic...

— Bo chorzy, to i odezwać im się nie łacno. Leć, Jasiek, leć, ja też wnetki pożenię. Krowy już setnie napasione, widzisz, jak im boki urosły. Leć, Jasiek, może matusi czego potrza, może wołają, a kole nich żywej duszy...

— Ano, to polecę — westchnął chłopczyna i zabrawszy garnuszek, puścił się pędem do wsi.

Jędruś został znów sam wśród rozśpiewanych, zielonych pól, pod wesołem niebem wiosennem. Ale w dwunastoletniem jego sercu nie było wcale wesoło. Od dwóch niedziel matusia bardzo chorzeli. Nic jeść nie mogli, ino leżeli rozpaleni, jak to żelazo na kowadle, w gębie cięgiem im zasychało, a wczora i dziś to już ani na moment nie zdołali zwlec się z posłania na izbę.

Tatuś byli okrutnie markotni i źli, bo to teraz w polu robota robotę goni, trza było do okopywania najemników przez życia godzić, gotowizną samą płacić, bo strawy la wszystkich nie miałby kto uważyć, a gdowa po Szymku Musiale także już do krzty swojej chałupy zaopuścić nie mogła...

Zaturbował się chłopiec, rozważając całą niedolę, jaka z powodu matki zawisła nad ich strzechą. Naraz przed oczyma mignęła mu kukułka, ścigana przez gromadkę drobnego ptactwa. Raptownie wpadła między gałęzie dzikiej gruszy, stojącej w pobliżu na szerokiej miedzy, a hałaśliwy drobiazg ptasi, obsiadłszy drzewo, głośnem, namiętnem ćwierkaniem dawał wyraz swym nieprzyjaznym uczuciom.

— A może kukułka co dobrego ła matusi wykuka? — przeszło Jędrusiowi przez głowę i zaraz zapytał:

— Kukułecko, kukułecko, a kielaz roków matusi mojej sądzono?

Gdy ptak, siedząc w gęstwie gałęzi, nie odzywał się wcale, Jędruś powtórzył:

— Kukułecko, kukułecko, moja złociuśka, a kielaz roków matusi mojej sądzono?

Lecz i na to pytanie nie było odpowiedzi. Chwilę jeszcze pozostawała ukryta wśród gałęzi, poczem wymknęła się nagle, i lecąc nisko nad rolami, pofrunęła hen daleko, za łąkę, i za gajem olszynowym zniknęła.

Jędruś westchnął smutno, oczy mu zwilgotniały, żal objął serce. Spędził krowy na drogę i gnał ku wsi, trąc co chwilę oczy kułakiem i spiesząc się do biednej matusi, której kukułka ani roku życia wykukać nie chciała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czem żyje duch ludzki

Nie samym chlebem człowiek żyje. Każdy z nas, nawet najlichszy nędzarz, prócz potrzeb cielesnych, ma jeszcze mniej lub więcej liczne potrzeby duchowe, których zaspokojenia ma prawo żądać od społeczeństwa. Każdy musi modlić się, uczyć się i bawić; musi mieć pewność bytu i rozwoju dla siebie samego, swojej rodziny i całego społeczeństwa.

Modlitwę zapewnia nam Kościół; naukę — szkoły, książki, pisma, biblioteki; zabawę — sztuki piękne jak: malarstwo, rzeźba, teatr, muzyka, taniec, śpiew. Bezpieczeństwo bytu i rozwoju powinien dawać rząd czyli państwo.

W każdym narodzie znajdują się ludzie różnej religii, ale jedna ma najwięcej wyznawców i ta jest najpowszechniejszą. Taką w naszem społeństwie jest religia katolicka. Posiada ona własne urządzenia kościelne: swoich kapłanów wyższego i niższego stopnia, oraz zwierzchność kościelną, to jest Arcybiskupów i Biskupów, zależnych od Stolicy Apostolskiej w Rzymie. Posiadamy okazałe świątynię, gdzie składamy Bogu cześć według zasanaszego obrządku. Nad tem wszystkiem czuwają kapłani, duchowieństwo, spełniając zarazem wszelkie przez Kościół przepisane obrzędy, niosąc pomoc duchowną przez cały przeciąg życia człowieka, od kolebki aż do grobu, i czuwając nad jego cnotą i moralnością. Wszędzie cześć i wdzięczność otacza osoby stanu duchownego za spełnianie obowiąsków ich wysokiego powołania. Społeczeństwo zapewnia kapłanom byt pomyślny, a za

to oni, jako następcy Świętych Apostołów, spieszą ludziom z pomocą duchowną w każdej potrzebie.

Każde wyznanie, liczne w społeczeństwie, ma swoje własne urządzenia duchowne i cieszy się zupełną swobodą religijną. Tylko u ludzi półdzikich lub zdziczałych może zdarzyć się prześladowanie wyznaniowe, — co jednak bywa coraz rzadziej.

Przejdźmy teraz do nauki. Niezbędność jej pojmuje każdy. Nauka jest przygotowaniem człowieka do życia praktycznego, pełnego pracy rozumnej, płodnej dla społeczeństwa i samego siebie. Kto ma więcej nauki — więcej korzyści przynieść może społeczeństwu. To też o naukę w pierwszym rzędzie wszystkie narody się troszczą.

Pierwszem źródłem nauki są szkoły dla dzieci — zaczynając od najniższych szkółek ludowych, a skończąc na gimnazyach. Im więcej szkół, tem więcej dzieci uczy się i rozwija. Szkoły dla dzieci utrzymuje zarówno rząd, jak i osoby prywatne. W niektórych krajach Europy i w Stanach Zjednoczonych Ameryki olbrzymie sumy pieniędzy idą corocznie na potrzeby szkół. Takie kraje przodują nietylko w oświacie, ale także w przemyśle, handlu — we wszystkiem.

Drugi szereg szkół przeznaczony jest dla młodzieży starszej, która przeszła nauki niższe i przygotowuje się do uczonych zawodów praktycznych. Takiemi są: uniwersytety, instytuty, akademie. Wychodzą z nich uczeni, lekarze, prawnicy, profesorowie i nauczyciele szkół, kapłani, inżynierowie, uczeni rolnicy i leśnicy i t. d. A więc wychodzą ludzie, którzy pracą umysłową będą przodowali całemu życiu społeczeństwa, będą je podtrzymywali na siłach i nowe siły dla przyszłych pokoleń gromadzili. Szczęśliwe są społeczeństwa, gdzie takich ludzi wykształconych jest wielu, gdzie spotykają się oni w każdym stanie, — zarówno na krześle profesorskiem, jak i pod wiejską strzechą, w handlu, fabryce i w skromnym warsztacie rzemieślniczym. Ale szczęśliwe wtedy, gdy ludzie ci, nabywszy nauki, nie uważają jej wyłącznie za środek do własnej tylko samolubnej pomyślności, lecz użytkują z niej przedewszystkiem dla dobra i szczęścia całego społeczeństwa.

Wśród tych ludzi, zwanych inteligencyą narodu, znajdują się też uczeni, badacze, pisarze, poeci, wynalazcy, którzy pchają ludzkość naprzód, opromieniając zarazem sławą naród do którego należą.

Otóż ludzi tych zawdzięcza ludzkość przeważnie szkołom. Nie wszystkich jednak. Bywają między nimi tacy, którzy szkół wyższych nie ukończyli, a wykształcili się wysoko i stali wielkimi. Dopomogły im w tem książki i pisma. Każde społeczeństwo stara się wszelkiemi siłami o to, żeby dobrych książek i pism miało jak najwięcej i żeby były one dostępne dla jaknajszerszego ogółu.

Niemożliwem jest dzisiejsze społeczeństwo rozwinięte bez książek i gazet. Oczywiście mówimy tylko o książkach dobrych, uczciwych, siejących prawdziwą oświatę i moralność — i takich też jest najwięcej. Czasem między niemi, jak kąkol w pszenicy, trafi się książka fałszywa i niemoralna; ale na takiej poznać się nie trudno, i jak zły oset — zniszczyć.

W krajach bardzo dbałych o wykształcenie ogólne są różne urządzenia, ułatwiające samoukom korzystanie z książek i nabywanie nauki. Do nich należą: czytelnie i biblioteki publiczne, bezpłatne, lub bardzo tanie, odczyty i pogadanki o rzeczach naukowych i społecznych, wystawy rzeczy pięknych, zbiory naukowe i t. p.

Każde społeczeństwo w miarę swych sił stara się o to, aby takich urządzeń było jaknajwięcej.

Tutaj niestety wspomnieć musiwszy o tem, że my Polacy, zamieszkali pod obcymi rządamimało mamy środków na urządzenie czytelń, bibliotek, wystaw, odczytów i t. p.

A jednak duch żyć chce i musi.

Trzeba nam zatem korzystać z tego, co mamy.

Mamy czytelnie i biblioteki choć małe, ale doborowe, skąd każdą książkę dać można w rękę choćby młodzieży z tem przeświadczeniem, że nie znajdzie ona w niej zgorszenia, ale godziwą rozrywkę i naukę.

Mamy przedewszystkiem gazety i pisma, które obok wiadomości bieżących z całego świata uwzględniają także potrzebną nam oświatę.

Jest to tani, a dogodny sposób dostarczania pokarmu duchowi naszemu. To też dążyć nam trzeba do tego, aby wszyscy bez wyjątku z niego korzystali, a wtedy, co się tyczy kultury i oświaty, nie pozostaniemy w tyle poza innymi narodami.

O KAWIE.

Kiedy dawniej była kawa napojem tylko dla ludzi bogatych, dziś się tak rozpowszechniła, że pije ją każdy, nawet człowiek ubogi i najuboższy, stała się ona napojem powszechnym. Są okolice, w których popijają ją rano, w południe i po południu, a nawet wieczorem. Zachodzi pytanie, czy kawa zasługuje na takie rozpowszechnienie, czy może zastąpić mleko, zupy mączne, lub tym podobne napoje, które dawniej, gdy kawy nie znano, spożywano? Musimy odpowiedzieć „nie!"

Krzak kawowy jest rośliną trującą, a owoc jej, znana nam kawa, zawiera również truciznę, którą uczeni „kofeiną" nazywają. Mała ilość tejże kofeiny wystarcza, aby zabić królika, a ilość nieco większa, aby zabić człowieka. Zdarzyły się już wypadki śmierci wskutek nadmiernego użycia mocnej kawy. Trucizna ta działa rzeczywiście szkodliwie na żołądek i nerwy człowieka; mianowicie ludzie, wiele kawy pijący, odczuwają w późniejszym wieku fatalne jej skutki.

Kawa nie zawiera żadnych części pożywnych, ale drażni tylko nerwy, z czasem je osłabia, zabiera człowiekowi sen i tak dalej. Jeden ze sławnych lekarzy powiedział: Kawa przechodzi przez żołądek tylko na pół strawiona i zabiera z sobą nabiał i chleb, które się razem z nią spożywa.

Zatem kawa pomaga trawieniu i jest dobra tylko wtedy, gdy się człowiek dużo naje. Tymczasem u człowieka, odżywiającego się miernie, kawa przeszkadza trawieniu, bo jak powiedziano, zabiera ze sobą strawy pożywne, zanim te strawione i dla ciała wyzyskane zostały.

Mylimy się, sądząc, że dobrze się odżywiamy, gdy pijemy z kawą dobrą śmietankę, jemy dobry chleb z masłem; kawa wszystko to szybko przepędza przez żołądek, zanim tenże zdoła to strawić. Prócz tego odbiera kawa żołądkowi soki, które do trawienia są potrzebne.

Mimo przestróg i upomnień lekarzy, od kawy jednakże odzwyczaić się nie możemy. Dlaczego to? Bo kawa ma smak przyjemny i, jak tytoń, alkohol lub inne trucizny, miłe drażni nerwy; do tego już tak przywykliśmy, że nie mamy do tyle woli, aby zaprzestać denerwowania się. Często też ludzie nie mają niestety pieniędzy, aby sobie na inne napoje, często droższe, pozwolić.

Trzymać się tedy należy następujących zasad: Nie należy pić zbyt często kawy, ani zbyt dużo naraz, ani też nie należy pijać kawy zbyt mocnej. Zwłaszcza wobec małych dzieci należy te zasady ściśle i surowo zastósować w praktyce.

Zresztą byłoby najlepiej, gdyby zamiast kawy starano się zaprowadzić w domu inne strawy, które są pożywne i nie oddziałują szkodliwie na zdrowie człowieka. Niech każdy, kto może, do tych rad się zastósuje.

Rozmaitości.

* **Koniec bandy rozbójniczej.** Od czasów potężnych kalifów bagdadzkich rozbójnictwo na Wschodzie wcale się nie zmniejszyło. Jak dawniej liczne bandy rozbójnicze o których sobie opowiadano baśnie i dziwy, grasowały po rozległych obszarach piasku, tak i dziś biada podróżnikowi który w pojedynkę albo w nielicznym orszaku puści się w podróż.

Przed niedawnym czasem w Tauris, mieście perskiem liczącem 150000 mieszkańców miał miejsce tragiczne zdarzenie końcowe jednej z większych band rozbójniczych. Dowódca opryszków Dżefer Aga, młody mężczyzna o nadzwyczaj pięknej powierzchowności, który pod swoimi rozkazami miał oddział liczący 50 ludzi, cieszył się u ludu wielką przychylnością, pomimo że miał sumienie obciążone około stu zabójstwami.

Przez długi czas starały się perskie władze bezpieczeństwa napróżno położyć kres rozbojom Dżefer Agi i jego opryszków. Nawet wyprawa wojskowa złożona z 2000 żołnierzy po długich miesiącach daremnych walk i zasadzek musiała powrócić z niczem. Wobec tego policya uciekła się do fortelu. Zaniechała zupełnie ścigania opryszków, starała się nawet pozyskać ich zaufanie przez obiecywanie podarków (!). Bandytów oswojono zupełnie i pewnego pięknego poranku ujrzano ich spacerujących po ulicach miasta Tauris. Naturalnie bandyci byli uzbrojeni od stóp do głów. Dżefer Aga tak daleko posunął się w swej śmiałości, że pewnego dnia poprosił gubernatora miasta Tauris o audyencyę dla siebie i dla swych ludzi. To było jego zgubą. Zaledwie zjawili się w przedsionku pałacu gdy zostali przyjęci salwą przez dobrze ukrytych żołnierzy. Dżefer Aga padł ugodzony kulą w czoło. Dwóch opryszków zdołało jednak ujść, schronili się do podziemia w pałacu gubernatora, gdzie po rozpaczliwej walce, w której zastrzelili ośmiu żołnierzy a poranili prawie wszystkich, ulegli przemocy. Ciało Dżefer Agi i dwóch jego wicehersztów powieszono za nogi w podwórzu pałacu gubernatora.

Rozwiązanie z Nr. 4-go.

CIEN.